



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Maria Ossowska

Wspomnienia z ochronki

Kiedy wybuchła II wojna światowa miałam zaledwie trzy i pół roku. Wspomnienia wojennego dzieciństwa dotyczą mojego życia pomiędzy piątym a siódmym rokiem. Mieszkałam wówczas z rodzicami – Franciszkiem i Bronisławą – oraz młodszą o niespełna dwa lata siostrą Hanią w Zakopanem. Tato pracował w recepcji jednego z sanatoriów. Mama prowadziła dom i zajmowała się wychowaniem dwóch córeczek.

Cóż może być gorszego dla małych dzieci niż rozłąka z Rodzicami, a zwłaszcza z mamą. Machina wojenna nie oszczędziła nas. W 1941 roku mój tato, mając trzydzieści jeden lat, został wywieziony na przymusowe roboty do III Rzeszy. Na mamę spadł ciężki obowiązek utrzymania dwójki dzieci i siebie. Musiała podjąć pracę. Dzięki pomocy mojego śp. chrzestnego ojca, pana doktora Władysława Tondosa, znanego zakopiańskiego lekarza, otrzymała posadę pokojówki w Czerwonym Krzyżu na Chramcówkach. Nie mając w Zakopanem żadnej rodziny zmuszona była oddać nas do ochronki (taki ówczesny dom dziecka), prowadzonej przez siostry zakonne – Sercanki.

Budynek ochronki mieścił się przy ulicy Kościeliskiej w pobliżu starego, drewnianego kościołka i cmentarza dla zasłużonych obywateli miasta. Stoi tam do dzisiaj choć nieco zmieniony. Jak mi wiadomo przez długi czas było w nim przedszkole.

Zostałyśmy oddane pod opiekę siostr na stałe. Ochronka miała stać się naszym domem. Do dzisiaj pamiętam imiona kilku siostr. Najcudowniejsza była dla nas siostra Aniceta – szczupła, cicha, dobra. Często nas przytulała, pocieszała. Tłumaczyła nam, że zostajemy z nimi tylko na jakiś czas.

Z kolei siostra Manuela była bardzo rygorystyczna, oschła, nie potrafiła przygarnąć nas do siebie czy nawet pocałować. Może sama nie otrzymała w swoim domu ciepła, a może nie umiała wyrazić swoich uczuć. Siostra Sylwestra, już trochę starsza, szalenie pracowita, była raczej niskiego wzrostu. Na jej pooranej zmarszczkami twarzy widziałam zawsze smutek. Moją uwagę zwróciły jej spracowane ręce, których skóra była zawsze zaczerwieniona, zapewne wskutek zmywania ogromnej liczby garnków i wykonywania innych czynności – nie tylko kuchennych. Siostry miały przecież żywy inwentarz.

Była jeszcze Matka Przełożona – wysoka, postawna kobieta, a także kilka innych zakonnice, które jednak nie zapisały się w mojej dziecięcej łepetynie.

Wszystkie te siostry zakonne zastępowały nam matki. Staraly się robić to najlepiej jak umiały, choć nie zawsze tak jak oczekiwaliśmy. Jak to w życiu. Nam, dzieciom, stałe brakowało miłości i poczucia bezpieczeństwa.

Dla mnie i dla Hani dzień, w którym mama odprowadziła nas do ochronki był bardzo przykry. Również mama nie mogła powstrzymać się od łez, kiedy kurczowo trzymałyśmy się jej rąk. Dużo

później przy jakiejś okazji mówiła mi, że wracając do domu całą drogę płakała. Miała prawo odwiedzać nas w każdej chwili. Praca ograniczała jednak jej kontakty z nami. Ja byłam starsza, miałam pięć lat, zaś Hania trzy. Było mi łatwiej zrozumieć sytuację, a perspektywa zobaczenia mamusi za kilka dni uspokoiła mnie. Natomiast moja młodsza siostrzyczka długo szlochała po jej odejściu.

Gdzież się podziały szczęśliwe dni z Rodzicami? Była wojna i wszyscy cierpielśmy – każdy na swój sposób. Dla nas, dzieci, nie był to jednak żaden argument. Zaczął się dla mnie zupełnie nowy okres życia. Nie potrafię powiedzieć, jak dużo było nas wtedy w ochronce. Sądząc po liczbie łóżek w sypialni – około trzydzieści kilka. Same dziewczynki, młodsze i starsze ode mnie. Wszystkie obowiązywał regulamin dnia, którego należało przestrzegać. Wczesnie rano głośny dźwięk dzwonka oznajmiał pobudkę. Trzy rzędy żelaznych, na biało pomalowanych łóżek w sypialni na piętrze musiały być równiutko zasłane białymi prześcieradłami. Potem mycie się w pośpiechu, żeby zdążyć na modlitwę, no i śniadanie. Posiłki spożywałyśmy w jadalni. Obok trawnika przylegającego do kościółka i cmentarza było to miejsce naszych dziecięcych zabaw. Tam mogłyśmy pobiegać, poskakać i wykrzyczeć się. Jadalnię zapamiętałam jako dość duży pokój. Na środku stał długi stół, a przy nim drewniane, ciężkie ławki. Biegałyśmy więc wokół nich. Często jak to dzieci zapominałyśmy, że do obiadu powinnyśmy obrać odpowiednią ilość ziemniaków, tj. dwa duże garnki. Gdy nie zdążyłyśmy tego zrobić, dostawałyśmy ugotowane razem ze skórką, czyli w mundurkach. Dziś wiem, że dzięki temu nie miałyśmy szkorbutu, który jest wynikiem niedoboru witaminy C. Głównym źródłem tej witaminy są owoce i warzywa, o których wówczas nam się nie śniło.

Okolo godziny jedenastej przed południem otrzymywałyśmy tran. Miał zapobiegać krzywicy i uzupełniać dzienne zapotrzebowanie na kalorie. Odbywało się to według pewnego rytuału. Na środku jadalni stawiano konewkę z tranem. Siostra nalewała go na łyżkę, a my kolejno podchodziłyśmy do niej. Początkowo przelykałyśmy go z ogromną niechęcią, zagryzając kawałkiem czarnego chleba posypanego solą. Z czasem przestał na nas działać jego przykry zapach i smak.

Zwykle przed południem siostra zabierała nas na tzw. kwestę. Z kilkoma dziewczynkami niosłyśmy duży wiklinowy kosz i chodziłyśmy od piekarni do piekarni. Tam otrzymywałyśmy pieczywo za darmo. Najbliżej była piekarnia pana Dońca, który nigdy nie żałował dla nas chleba – największego naszego przysmaku. W czasie jednej kwesty, w bardzo mroźną i śnieżną zimę, odmroziłam sobie palce u nóg. Nie miałam wtedy odpowiedniego obuwia, a nawet najcieplejsze skarpetki wkładane do gumowych butów nie zabezpieczyły przed zimmem. Leczenie trwało dość długo, bo sprawa była poważna. Maści, które mama dostała z Czerwonego Krzyża i inne leki uratowały moje palce.

Wracając jednak do porządku dnia ochronki – o odpowiedniej porze był obiad, poprzedzony naturalnie modlitwą. Modliłyśmy się przed każdym posiłkiem. Po obiedzie obowiązywała cisza. Można było zdrzemnąć się siedząc na ławkach wokół stołu z głową opartą na rękach. Po południu poświęcałyśmy czas na różne zajęcia. Pamiętam, jak uczono mnie cerowania. Dostałam podarte wełniane rajtuzy, a do tego śmiesznego, drewnianego „grzybka” i grubą igłę z nitką. Staralam się wywiązać z zadania, choć nie było ono łatwe. Nauczono nas także przyszywać guziki, robić pętelki. Nie pamiętam natomiast, by czytano nam bajki lub je opowiadano. Okres bajek w moim przypadku zbiegł się z rozpoczęciem nauki w szkole.

Życie z dala od domu zwiększało naszą tęsknotę. Pewnego popołudnia szczególnie zatęskniłam za mamą. Postanowiłam sama do niej pójść. Zakradłam się więc po cichu do szatni mieszczącej się w pobliżu drzwi wejściowych. Nic nie mówiąc nikomu ani nie pytając o pozwolenie włożyłam swój brązowy płaszcz i wyszłam z budynku. Było to chyba pod koniec zimy. Na poboczach jezdni leżało trochę śniegu, a miejscami widoczny był lód. Zdjęta strachem – większą część drogi biegłam. Nie zdążyłam nawet pozapinać guzików płaszcza i włożyć czapki na głowę. Pamiętam, że przystawałam co jakiś czas. Rozglądałam się trwoźnie, czy ktoś mnie nie goni i znowu biegłam pełna nadziei na spotkanie z mamą. Przemierzyłam tak długą drogę od ulicy Kościeliskiej, część ulicą Nowotarską, aż na Kamieniec 15 a (willa „Alka”). Tu mieszkała nasza mama. Z daleka już zauważyłam, że prowadzące na werandę zewnętrzne drzwi były otwarte. Ucieszyłam się i wyobrażałam sobie, że rzucę się w objęcia najukochańszej mi osoby. Jakież było moje rozczarowanie, prawie rozpacz, kiedy okazało się, że następne drzwi są zamknięte i mamy nie ma w domu. Potwierdziła to nasza sąsiadka, pani L. Sama była mocno przestraszona, gdy mnie zobaczyła. Cóż było robić. Tą samą drogą musiałam wrócić do ochronki. Teraz bardzo się bałam. Co będzie, jeśli sprawa wyjdzie na jaw? Jak się wytłumaczyć?

Kiedy ponownie znalazłam się w szatni, długo z niej nie wychodziłam. Czekałam na mamę ukryta za wieszakami. Chciałam ją o wszystkim uprzedzić. I tak się też stało. Przyszła wkrótce i była zdenerwowana. Kiedy opowiedziałam jej o całym wydarzeniu, obie uspokoiłyśmy się. To co zaszło pozostało naszą tajemnicą. Nikt nie zauważył mojego wyjścia ani powrotu.

Zapewne z powodu niedożywienia, życia w trudnych warunkach higienicznych i dużego stresu nękały mnie różne choroby, zwłaszcza infekcje górnych dróg oddechowych. Polip w nosie utrudniał oddychanie i pogarszał stan mojego zdrowia. Pamiętam jak usunął mi go pan doktor Totwen, który przyjmował pacjentów przy ulicy Kościeliskiej. Był świetnym specjalistą, ale osobą szalenie nerwową.

Kiedy nie poddawałam się stosowanej wówczas narkozie metodą kapania eteru na maseczkę nałożoną na nos i nie mogłam zasnąć, strofował moją biedną mamę. Po zabiegu byłam bardzo słaba. Mama niosła mnie na rękach do samej ochronki. Nie ważyłam wówczas wiele, ale była to spora odległość. Myślę, że już wtedy były konne dorozki, ale Jej nie było na nie stać.

Często się zaziębiałam. Dokuczaly mi także czyraki – głównie na palcach obu rąk. Kończyło się zawsze tym samym – nacięciami chirurgicznymi. Kiedy obie z Hanusią zaraziłyśmy się świerzbem, mama zabrała nas do domu na czas kuracji. Jaka to była radość! To nic, że świąd skóry nie dawał spokoju. Byłyśmy w domu! W tym czasie wszystkich mieszkańców miasta obowiązywało zaciemnianie okien. O zmroku należało je zasłaniać ciemnymi kocami. Przy świetle naftowej lampy, w blasku płomyków wydobywających się spod kuchennego pieca, mama smarowała nasze wątle ciała odpowiednimi maściami. Koila nasze rany i było nam razem dobrze. Do dziś pamiętam koklusz – chorobę, o której dziś już zapomniano. Mamie wydawało się, że nigdy nie przestanę kaszleć. Na domiar złego straciłam apetyt. Siostry próbowały dożywić mnie surowymi jajkami, co dawało wręcz przeciwny efekt.

Najszczęśliwszy dzień miał dopiero nadejść. Nie pamiętam dokładnie daty, prawdopodobnie wydarzyło się to pod koniec 1943 roku. Zachorowałam na odrę. Leżałam z kilkoma dziewczynkami w izolatce, która znajdowała się na pierwszym piętrze, obok naszej sypialni. Oprócz silnych objawów typowych dla tej choroby (nieżyt spojówek oczu, światłowstręt, kaszel, wysypka na skórze) cierpiałam także z powodu biegunki. Wybiegałam często z łóżka i starałam się dotrzeć do ubikacji, która o ironio mieściła się na końcu sypialni. Niestety, nie zawsze zdążyłam. Pewnego dnia zobaczyłam w drzwiach izolatki tatę. W pierwszej chwili nie wierzyłam własnym oczom, ale była to prawda. W rękach trzymał pakunek przewiązany sznureczkiem. Jak się później okazało, były w nim ciastka, które kupił dla nas w cukierni. Dokładnie pamiętam jego ubiór. Krótka do pasa, sztruksowa bluza w kolorze brązowym i takie same spodnie, tzw. pumpy. Z jego fiołkowo-niebieskich oczu płynęły łzy. Tato kochał nas bardzo. Na jego widok wszelkie dotychczasowe niedole stały się nieistotne. Tato wrócił! Dla niego, jak to później opowiadał, miał to być okolicznościowy urlop. Mama wysyłała alarmujące listy i to pomogło uzyskać pozwolenie. Dobry Bóg sprawił, że udało mu się zostać z nami. Zaczął pracować w recepcji hotelu „Morskie Oko”. Kiedy Niemcy wyłapywali ludzi prosto z ulicy w tzw. łapankach i zwozili ich do sali teatralnej tegoż hotelu, udało mu się wyprowadzić kilka osób. Znał dokładnie wszystkie pomieszczenia, więc wyprowadzał ludzi pod sceną teatru i kotłownią.

Życie nie szczędziło moim Rodzicom trosk. Trwała przecież wojna, niemiecka okupacja. Ale byliśmy razem. Niejednokrotnie doskwierał nam głód. Mama z narażeniem życia zapuszczała się pociągami do Miechowa, aby zdobyć trochę mąki. Potem piekła z niej dosłownie postne placki. Po chleb tato szedł kilka dni pieszo do swojego brata Antosia, który mieszkał pod Tarnowem. Po powrocie miał obolałe nogi i plecy, ale w plecaku znajdowaliśmy trochę fasolki i duży bochenek chleba. W jego skórce było pięknie wykrojone i dopasowane wieczko pozwalające ukryć masło. Robiła je specjalnie dla nas nasza stryjenka. Co to było za święto w domu! Wszyscy delektowaliśmy się tym chlebem, a mama rozdzielała go na małe porcje. Nigdy tego nie zapomnę.

Muszę koniecznie opowiedzieć o Hani. W grudniu 1945 roku zorganizowano dla zakopiańskich dzieci imprezę mikołajkową. Odbyła się ona w sali hotelu „Morskie Oko”. Byłyśmy tam także i my. Dostałyśmy paczki ze słodyczami. To radosne przeżycie było jednak początkiem choroby Hani. Po powrocie do domu gorączkowała. Z początku nic nie zapowiadało tragicznego końca. Niestety, w samą wigilię Świąt Bożego Narodzenia 1945 roku zmarła w szpitalu na zapalenie opon mózgowych. Została pochowana na cmentarzu przy ulicy Nowotarskiej. Chodziła zaledwie kilka miesięcy do szkoły. Był to cios dla Rodziców i dla mnie.

* * *

Każda wojna jest okrutna. Niesie ogrom cierpień nie tylko dorosłym, ale także dzieciom – zawsze bezbronnym. Bohaterstwo to nie tylko walka z bronią w rękę i znoszenie bólu fizycznego, ale też psychicznego. Czymże jednak były wszystkie moje przeżycia w stosunku do losu milionów dzieci, które zginęły w obozach koncentracyjnych i miały nigdy nie oglądać słońca.

W mojej pamięci nie utrwaliło się żadne imię tych, z którymi dzieliłam wspólny los w ochronce. Ciekawe, jak ułożyło się ich życie?